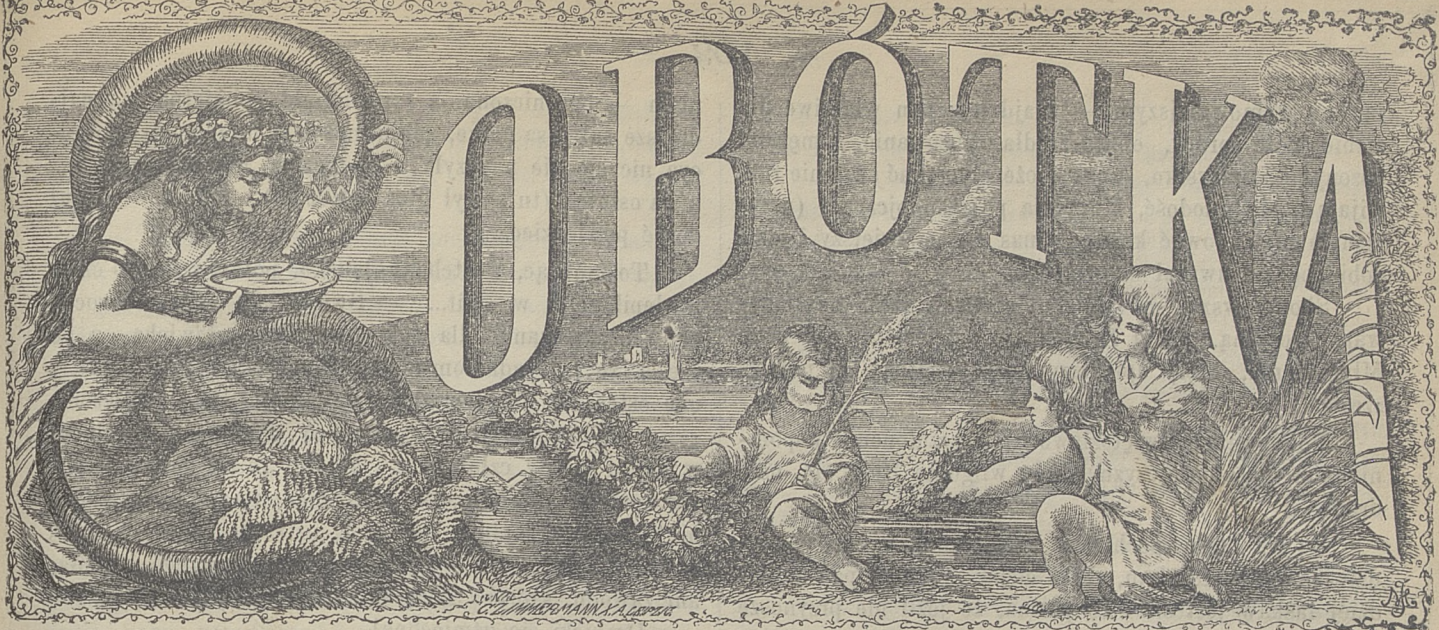


OBÓTKA



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

N^o. 13.

Poznań, dnia 27 Marca 1869.

Rok. I.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

— O! nie sądz pan tak źle o nas starych — zawołał — młodzież! młodzież! to nadzieja przyszłości, w piersi której kraju serce bije! każdy z nas z radością, z dumą spogląda na te rozwijające się pączki... Dla ludzi kraj miłujących... ojczyznę! (tu westchnął) żaden młodzieniec nie jest obojętnym...

Wyrzekłszy ten wyraz — ojczyznę! spojrzął, jakie wywarł wrażenie... Młodzieniec miał minę poważną. Drabicki począł go ścisnąć, potem zajął krzesło przy nim i cichym, ojcowskim, protekcyjnalnym głosem odezwał się:

— Cóż tu pana do nas sprowadza pod te dosyć burzliwe czasy?

Młyński zarumienił się, jakby go kto na gorącymuczynku złapał, zawahał się, nim mówić ośmielił.

— Nie wiem, czy panu wiadomo, że straciłem moją drogą matkę...

— A! nie może być! — załamując ręce, odparł Drabicki — szanowna pani podkomorzyna! o Boże! dostojna matrona polska, wzór cnót, żywa tradycya... nasza narodowa!... (położył nacisk na tym wyrazie) Strata! i strata nieodżałowana nie tylko dla pana, ale dla kraju całego... Ale coż znowu, że mi żaden z moich korespondentów nie doniósł o tém przecie... Należał się nekrolog podkomorzynie, prawdziwie świętej niewieście, tak powszechnie wielbionej i tak cenionej przez wszystkich...

— A! tak panie — z gorącym uczuciem przerwał syn, któremu się łzy w oczach zakręciły — była to święta niewiasta, był to pomnik przeszłości...

— Co za śliczne wyrażenie... jak znać, że ono wyszło z serca! podchwycił Drabicki.

Świętosław zawstydzony pochwałą, zarumienił się znowu, a po chwili dopiero mógł mówić dalej.

— Dopóki żyła kochana matka moja, dla niej mieszkałem na wsi, teraz mi Rabczyce obrzydły, opustoszały postanowiłem je puścić dzierzawą.

— I myśli pan podróżować, czy w mieście pozostać? zapytał Drabicki.

— Jeszcze... doprawdy nie wiem, co postanowię... rzekł, wahając się młody człowiek.

— Nie śmiałbym naturalnie przesądzać zamiarów pańskich — odezwał się po namyśle Drabicki... ale gdyby życzliwa rada mogła być przyjęta... czy nie najwłaściwszym dla pana byłoby pobyt w naszym miasteczku? Tu się poznaje ludzi, zawięzuje stósunki, słucha tętna opinii, uczy kraju... Nie tajno nam, co literatury dotykamy z obowiązku dziennikarskiego, że pan... masz i powołanie do niej i talent znakomity...

Świętosław protestował, ale redaktor przerwać sobie nie dał.

— Znakomity, powtórzył z pryncypem. Wszakże kilka nader, nader szczęśliwych prób, rokujących wielkie, wielkie nadzieje — umieszczonych było... (wszyscy to wiedzą) w Rozmaitościach? Ściągnęły one powszechną uwagę i każą się nam w panu spodziewać znakomitego pracownika na niwie ojczystego piśmiennictwa...

(Wymówiwszy „ojczystego“ spojrzął znowu — czy trafik.)

Tu więc, mówił dalej coraz głos podnosząc i sta-

jąc się wymowniejszym — znajdziesz pan właściwe dla siebie pole pracy, obfite źródła, obcowanie z mężami uczonymi... wszystko, czego może wymagać świetnie rozwijająca się młodość, którą dla pożytku ojczyzny (przycisnął) pielęgnować każdy z nas za najświętszy będzie sobie będzie uważał obowiązek...

Skończywszy mozolnie upleciony frazes, naszpikowany ojczyzną, podał Drabicki z przejściem rękę panu Młyńskiemu, który upieklszy raka, uścisnął ją pomieszany.

Pocziwemu Świętosławowi, rozczulonemu wspomnieniem matki i ojczyzny, oczy wilgotne lśniły się, usta drgały...

— Na tak pochlebne dla mnie wyrazy prawdziwie, nie zasłużyłem, rzekł cicho — nadto pan dobrodziej łaskaw jesteś... To pewna, że jeżeli nie przynoszę z sobą talentu, przynajmniej chęci jak najlepsze, gotowość do poświęcenia, do pracy — pragnienie stania się użytecznym krajowi.

A po chwili dodał — nie mam, dzięki Bogu zarozumiałości, czuję się młodym i z rad pańskich nie omieszkam korzystać.

Drabicki uradowany skłonił się, spojrzął na zegarek...

Tego Izydora nieznośnego widzę, że się nie doczekam — rzekł cicho... czy pan znasz Izydora?

— Prawie z nazwiska tylko... wiem, że człowiek utalentowany...

— Tak jest, tak jest, nie przeczę... Styl ma cudy, łatwość niesłychaną, złote pióro, panie dobrodziej! złote pióro! ale człowiek... potrzeba go wodzić na pasku, pilnować, dyktować mu, a nie puszczać bez niańki. — Tysiące głupstw płata... każdy go pociągnie, kto chce.. w życiu nieład jak największy. Mimo dosyć pięknych dochodów z pióra, niedostatek, nędza prawie doskwierająca... a ma grosz, to go przehuła! Gdybym przezliwość nie opiekował się nim, dawnoby się zapił, albo umarł z głodu... grosz się go nie pottrzyma... przeje, przepije, odda oszustom... i próżniak w dodatku, że gdyby nie mus, nicby nie robił, tylko jadł, pił i spał... Na klucz go zamykam, czapkę mu chowam... Ale cóż? wyrwie się... bywaj zdrów. Na dobrych koleżkach nigdy mu nie zbywa... Z tém wszystkiem talent... talent znakomity... nie idzie dalej.

— Szkoda wielka człowieka.

— Niezmierna... Ale ma już lat czterdzieści kilka... nie zmieni się, to darmo. Jakież nieszczęście nad tą literaturą i dziennikarstwem naszym, byle iskra talentu, pewnie się zwała...

Drabicki westchnął.

— Już to nad ojczyzną naszą... wisi jakiś fatalizm!...

Zamilkł, ale i Świętosław milczał, mówił więc dalej, wypocząwszy:

W naszym zawodzie dziennikarskim porządnych ludzi braknie... wszystko to zależni, biedni, bez należytego wykształcenia, których my dopiero musimy mozolnie na użytecznych wyrabiać... A to też zawód ciężki! i powiadam panu poufnie, gdyby nie wyższe pobudki służenia krajowi, kierowania opinią, człowiek by dawno ten psí chléb porzucił... Kraj! zacofany, szlachta z pozwole-

niem — ograniczona a zarozumiała, obojętna na najdroższe interesa nasze, solidarności w niczym, arystokracja nic się nie nauczyła i o niczym nie zapomniała... a na ostatek (tu zniżył głos ostrożnie)... rząd... — to już dosyć powiedzieć...

To mówiąc, westchnął głęboko, potarł ręką po czole i wlepił oczy w sufit... — Świętosław milczał trochę przez uszanowanie dla tak dostojnego człowieka, a po części, że jego zdaniom nie do zarzucenia nie miał. Były one ostre, ale nie bez znajomości położenia wyrzeczone.

— Prawda to wszystko, co pan mówisz, dodał w końcu młody człowiek — ale też za to, co za wzniosłe i wielkie posłannictwo dziennikarstwa! Jakie zadanie! kierować opinią, oświecać, ostrzegać stać na straży — walczyć... Nie — nie znam piękniejszego zadania, ani zawodu, któryby gorącemu lepij przystał sercu...

Drabicki się uśmiechnął...

— Tak, tak — rzekł, to jedna, złocona strona medalu, ale należy też spojrzeć i na odwrotną — niestety — miedzianą, rdzą okrytą... Co za męczarnie!

— Cóż bez ofiar przychodzi?

— A! to pewna, człek też pcha taczkę przed sobą z uczucia obowiązku, nie zważając, że nie rozumieją go, plują nań i rzucają błotem...

To mówiąc, rękami machnął i zamilkł... postać przybrał męczennika za wiarę, choć krągły brzuszek trochę się z nią sprzeczał:

Potém uśmiechnięty spytał.

— A pan, nie masz też ochoty poświęcenia się dziennikarstwu?

— Ja? odparł jakby przestraszony pytaniem Świętosław — ja? ale młodość moja sama już jest przeszkodą... zawód ten wymaga ludzi wytrawnych.

— Tak... do dyrekcji — do dyrekcji, mówił Drabicki poważnie, ale w szeregach potrzebuję sił młodych.

— Nie mam jeszcze odwagi występować w te szranki — odparł skromnie młodzieniec — przynajmniej na teraz...

— To szkoda, ozwał się dziennikarz, zaraz bym pana zawerbował i byłbym nader szczęśliwym, otwierając mu wrota do zawodu, tak użytecznego dla... ojczyzny... tak zaszczytnego dla pana...

Młodzieniec dziękował zmieszany, nie nie mówiąc.

— Przyznam się panu — dodał Drabicki, że tu coś mówiono, jako byś pan miał zamiar...

— O! daję panu słowo! na teraz, na teraz żadnego, żywo oparł się Świętosław — potrzebuję się jeszcze uczyć, studyować, oswajając z nowym dla mnie światem...

— A zatém, jeżeli później kiedy przyjdzie ochota, dodał Drabicki dobrodusznie, proszę rachować na mnie, na życzliwość moją i pragnienie służenia mu. Potrzebujemy sił nowych, a zwłaszcza ludzi niezależnych, wykształconych i dzielających opinie nasze... zasady demokratyczne... umiarkowane... wierzących w postęp... hm, brm...

Reszta zaplątała się w mruczeniu, które mogło oznaczać, co kto chciał.

Młyński wysłuchał tego wyznania wiary z antidotami i kompensacjami i zdawało się, że nic mu nie miało do zarzucenia; wstrzymał się wszakże od odpowie-

dzi wzajemném Credo. Był to tylko dobry znak zupełnej zgodności zdań z szanownym Drabickim, który wypocząwszy i namyśliwszy się, tak po cichu ciągnął dalej.

— Życząc z serca dobrze kochanemu podkomorzcowi, pozwolisz, abym mu niektórych udzielił informacji. W położeniu pańskim należy być nader ostrożnym, wszyscy tu na niego polować będą... Zlituj się, nie dawaj się wciągnąć ani do téj kliki ultramentanów, ani tym szaleńcom czerwonym, półgłówkom, garibaldystom... I jedni i drudzy idą za daleko... rozsądni ludzie wedle staropolskiej zasady — medium tenuere beati... My tu, to jest dziennik mój reprezentuje właśnie postępek i liberalność rozsądną, na tradycjach ojczystych opartą. Wprawdzie znajdziesz pan o mnie, o nas (szczególniej zaś o mnie) opinie różne, potwarcze — będą nas... mnie panu przedstawiać z jak najczarniejszej strony... ale wierz mi pan (uderzył się w piersi) nie tak czarnym, jak mnie malują... Jam prosty człowiek, dobrą woli! Westchnął rozczulony.

— Trudne téż położenie nasze w tych czasach krytycznych, mówił, kraj podzielony na mnóstwo odcieni, niedojrzały a przypruchniały, zawiedziony — więc niedowierzający...

To mówiąc, patrzył wciąż na słuchacza, ale na pogodnej jego twarzy nie oprócz ciekawości wyczytać nie umiał.

— Co do mnie, odezwał się Młyński po pewnym namyśle — stronnictw nie rozumiem... nie umiałbym się na ślepo zaprzędać żadnemu... Z czystym sercem pragnąc służyć krajowi, słucham instynktu, przytém serca

i chęć pozostać swobodnym, abym mógł pójść zawsze gdzie mnie sumienie i powinności powołają.

— Nie mogę nie przyklasnąć tak szlachetnemu programatowi! zawołał redaktor. Pan mimo swój wiedzy już masz coś języka dziennikarskiego w wyrażeniach... łatwość, styl! O! będziemy w panu mieli znakomitego pisarza politycznego.

Młyński oczy spuścił, Drabicki ręce zacierał... pochylił się jak szatan kusiciel z uśmiechem ku niemu.

— Jak tylko wiek dozwoli — szepnął, czemu byś pan nie spróbował... poselstwa? He?!, z pomocą naszą... moich przyjaciół mógł byś być wybranym z łatwością.

Świętosław aż się cofnął.

— A! panie! niech Bóg uchwaja od samej myśli. Nie mam żadnej do tego pretensyi... to rzecz starszych. i tych co w sobie siły czują po temu...

Redaktor wzrokiem rzucił na twarz młodzieńca i zamilkł — strzał był chybiony. — Rozmowa tak dobrze jak wyczerpaną się zdawała na pierwszy raz... pierwsza téż godzina wybiła nareszcie i pod wodzą oberkelnera wystąpiła wazka z zupą, jedna z najpierwszych na stół przed podkomorzycą.

Świętosław przybyciem jój był zakłopotany.

— Gdybyś pan dobrodziej pozwolił prosić się na skromny ze mną obiadek? zapytał nieśmiało — byłbym bardzo szczęśliwy...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SONETY.

WESTCHNIENIE WYĞNAŃCA.

Kennst du das Land, wo die Citronen blüh'n,
Im dunkeln Laub die Gold-Orangen glüh'n?....
(Göthe)

Oddycham lubą mirtów i cyprysów wonią,
Cytryna tu dojrzewa i pomarańcz złota,
A w duszy méj dojrzewa boleść i tęsknota,
A w sercu łez i żalu głuche tony dźwięnią.

W jasnym niebios lazurze oko moje tonie,
To w przezroczym wód czystych nurza się kryształe,
A duch wzlata daleko — na rodzinne błonie —
Kędy marzącój Wisły ciche szumią fale.

Gdzie ciemne, smętne lasy, niebo blade, mgliste,
Żywe lany, a nizkie i słomiane strzechy,
A mieszkańce ich czyści sercem, duchem prości!

A wszystko tam jedyne, święte, bo ojcyste,
Tam pierwsze łzy spłynęły i pierwsze uśmiechy,
Tam, och! tam spoczną kiedyś tułacze me kości!

W WIĘZIENIU.

O! lochu mego przejrzystniejszą ścianę! —
Oto zieleność mej polskiej ziemi!
(Z. Krasiński)

Ugiąłem silne ramię pod żelazem twardém,
Dłonie skuł mi wróg ciężkim łańcuchem niewoli
I zmierzył mnie spojrzeniem szyderczém a hardém
I urągał boleści mej i niedoli.

W głuchym lochu nie dojrzeć promyka światłości,
Lecz duch światłem nadziemskim, silny i bogaty!
Myśl, jak gwiazda polarna przenika ciemności,
Jasne rozwija skrzydła i płynie w zaświaty.

I nieraz na jój skrzydłach, lecę w kraj uroczy,
Nad brzegi modrej Wilii — W rodzinną zagrodę —
Gdzie stary tęskni ojciec i siostra lzy leje.

Tam, jak wody potoku, przeszły lata młode,
Tam do czynów szlachetnych rwał się duch ochoczy,
Tam w serce tęskne, wiano miłość i nadzieję!

Poznań, dnia 19 marca 1869 r.

T..... R.

Spowiedź publiczna przed wielkim penitencyarzem w Rzymie.

(Z ryciną.)

Ostatnie siedem dni przed Wielkanocą, nazywamy wielkim tygodniem, bo w tym czasie obchodzi kościół pamiątkę wielkich tajemnic, dokonanych przez Zbawiciela świata. Żadne pewnie święta w roku nie budzą w nas tak poważnych uczuć i tak tkliwych wspomnień, jak święta wielkanocne. Tu człowiek zarówno z kościołem smuci się nad męką niewinnego i raduje się nad jego zmartwychwstaniem. A jeżeli tylko człowiek ma spokojne sumienie, zdaje mu się, że odżył, odmłodził, że powstał nowym człowiekiem. Obrzędy czyli ceremonie kościelne wielkiego tygodnia są tak poważne i niezwykłe, tak pełne głębokiego znaczenia, że silnie wpływają na nasze serce, aby je poruszyć, podnieść, rozrzewnić i rozweselić, a może obudzić ze snu, często twardego i ukazać cel ostateczny, wszystkich ludzkich zabiegów — niebo.

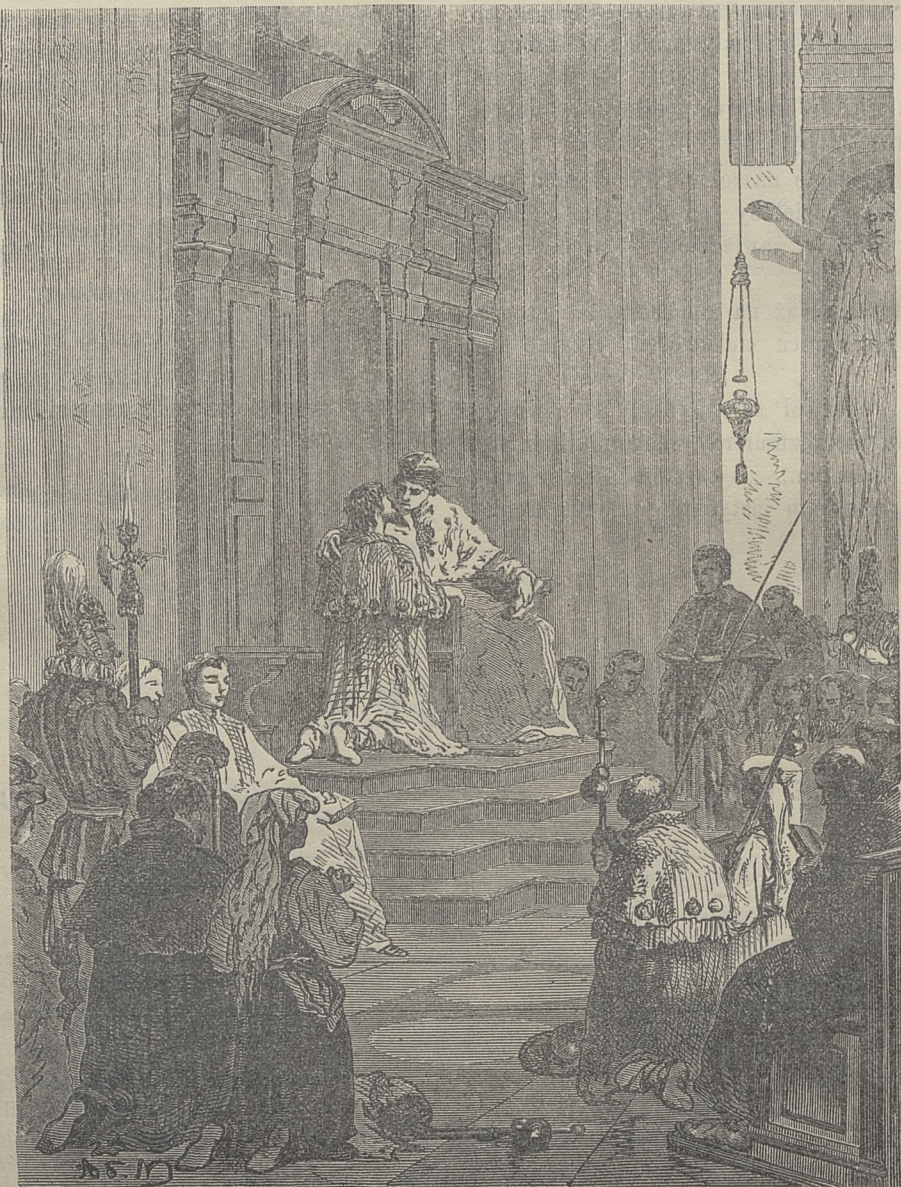
Takie uczucia budzą już w nas obrzędy wielkiego tygodnia, chociaż biedne nasze kościoły, chociaż nas nie stać na środki do otoczenia tychże odpowiednią, świetnością. To też czemuż to wszystko w obec ceremonii wielkiego tygodnia w Rzymie? W tym Rzymie, gdzie przepych najwyższy w obrzędach rozwinięty, gdzie ceremonie odprawia sam Papież, gdzie są kardynałowie i tylu najwyższych dostojników kościelnych, gdzie najwspanialszy na cały świat kościół św. Piotra, budowy wielkiego Michała Anioła, gdzie słynna kaplica Sykstyńska ze swymi ozdobami, ze swą muzyką, ze swym Miserere i mszą papieża Marcellego!

Nie dziw też, że kto może, religijny i niereligijny, katolik i niekatolik, spieszy na wielki tydzień do Rzymu, by się przypatrzeć wspaniałym obrzędom, lub serce swe rozgrzać i zapalić do czci i miłości wielkiego Boga. Wielu pobożnych przybyło do Rzymu i wrócili lepszymi, przywiązanszymi do rzymskiego kościoła. Przybyło wielu ciekawych, a znaleźli nie tylko nasycenie ciekawości oczu, ale i potrzeb serca. Przyszło i wielu nie-

wiernych, niekatolików, tak ot tylko dla zabawy i przejażdżki, a znaleźli prawdziwą wiarę i duszy zbawienie w katolickim, rzymskim kościele.

Nie możemy tu opisywać wszystkich ceremonii wielkiego tygodnia w Rzymie, bo o tym tomy pisać można. Wyjaśnimy tylko powyższy obrząd, który przedstawia ilustracya.

W pierwszych wiekach kościoła był zwyczaj, że wielkiemu grzesznikowi zadawano za pokutę publiczne i głośne wyznanie grzechów, albo też nawet grzesznik żałujący sam dobrowolnie czynił głośne wyznanie swych grzechów, do czego go skłaniała głęboka skrucha. Od końca czwartego wie-



ku ustała ta praktyka, a pozostał tylko jej ceremonial w Rzymie (choć z znaczeniem sakramentalnym) z tą przecież różnicą, że pokutnik nie spowiada się już głośno. Wzniosłą tę czynność wykonuje kardynał, zwany wielkim penitencyarzem (od wyrazu łacińskiego poenitentia, który znaczy pokutę) w sposób bardzo uroczysty co rok tylko we wielki tydzień i to we czwartek, piątek i sobotę, co dzień w innym kościele — Laterańskim,

Panny Maryi Większej i świętego Piotra. Ma on moc odpuszczania najcięższych grzechów, które samemu tylko papieżowi są rezerwowane.

Załączona rycina przedstawia wnętrze lewej kaplicy św. Piotra, w której obok posągu św. Weroniki wystawiono na wielkiem wzniesieniu rodzaj konfesyonału dla wielkiego penitencyarza. Wszedłszy po kilku stopniach, zasiada w nim kardynał spowiednik u św. Piotra we czwartek około godziny czwartej z południa. Przybrany jest w kapę koloru fioletowego, bo barwa ta u kardynała jest znakiem żałoby i pokuty. Z obu stron wielkiego wzniesienia siadają na ławach kardynałowie, ksiądzeta kościoła, asystujący ważnemu obrzędowi; reszta otoczenia stoi w pewnym oddaleniu. Grzesznik, z którym się ma odbyć ten obrzęd, wchodzi do kościoła w procesyi, którą tworzy kilku zakonników, jego rodzina i przyjaciele. Wchodzi do kardynała po stopniach, klęka przy nim i spowiada się po cichu. Po udzielonej nauce i modlitwie do miłosiernego Boga udziela kardynał pokutnikowi rozgrzeszenie, a potem daje mu uścisk publicznie. Pokutnik opuszcza po rozgrzeszeniu kościół

św. Piotra w tej samej procesyi, która go do świątyni przywiodła, a kardynał wielki penitencyarz zabrawszy laseczkę penitencyarską, którą trzymał jeden z otoczenia, zstępuje ze swego konfesyonału i przystępuje do zwyczajnych funkcji penitencyarskich we większych bazylikach.

Dla uzupełnienia rzeczy, wspomnimy jeszcze o sposobie udzielania odpustu w ostatnich trzech dniach wielkiego tygodnia, bo ma pewien związek z naszym przedmiotem.

Kardynał penitencyarz siedzi w konfesyonału; penitenci klękają przed nim, a on dotyka się z lekka ich głów długą laską z białej wierzbiny. Penitenci już się uprzednio wyspowiadali i przystąpili do stołu pańskiego. Dotknięty laseczką otrzymuje sto dni odpustu. Obrzęd ten ma podobno być zabytkiem obyczaju rzymskiego przy uwalnianiu niewolników. Nad uwolnionym niewolnikiem łamano laskę, dzisiaj dotyka się nią penitencyarz głowy chcącego dostąpić odpustu i uwalnia go od częściowej kary doczesnej.

X. K.

Narodowość w stosunku do kwestyi socyalnej

przez Dr. Karola Libelta.

(Dalszy ciąg.)

Kwestya socyalna tak więc jest stara, jak społeczność ludzka jest starą. Adam wypędzony z raju i wskazany w pocie czoła pracować na życie i zdobywać sobie płody natury, Kain, który zabił brata swego Abła z zazdrości, że ten był ulubieńcem Boga, są to odległe kosmogoniczne skazówki kwestyi socyalnej, której przeznaczeniem jest nieustająca i trudna walka przeciw uciskowi różnego rodzaju, a niekiedy na nieszczęście czasów walka bratobójcza. Widzimy ją później w walce Helotów przekazanych na niewolę przeciw wolnym obywatelom Grecyi; widzimy ją w Rzymie w walce plebejuszów z patrycjuszami, gdy całe mieszczaństwo ustąpiło z Rzymu i udało się na górę świętą; widzimy ją we wzniosłej idei miłości bliźniego równającej wszystkich ludzi w obliczu Boga, którą boski nasz zakonodawca przyniósł na świat i poniósł dla niej śmierć krzyżową; i widzimy ją w pierwszych trzech wiekach walki chrześcijaństwa z pogaństwem, następnie w powstaniach chłopstwa w Niemczech i we Francyi i w wiekach średnich, widzimy ją w reformacji wyłamującej się z pod przewagi duchowieństwa; widzimy ją w rewolucyi francuzkiej znoszącej przywileje stanów i ogłaszającej równe prawa człowieka, widzimy ją wreszcie w ostatniej krwawej walce Zjednoczonych Stanów Ameryki Północnej przeciw południowcom pragnącym utrzymać niewolę Negrów. Zgoła w krwawych i spokojnych legalnych walkach wszędzie wyjawia się kwestya socyalna, jest to wyzwolenie się społeczności ludzkiej do równych praw i swobód, dla każdego w szczególności.

Poznawszy, co jest kwestya socyalna, starajmy się teraz poznać, co to jest narodowość.

Narodowość, jak to nasz wyraz ojczysty dobitnie okazuje, a którego nam inne narody pozazdrościć mogą, nie posiadające na oznaczenie tego pojęcia własnego wyrazu — narodowość jest to, to wszystko, co naród stanowi, co jeden naród od drugiego narodu wyróżnia.

Co to jest naród? I tu znowu nasz język wskazuje nam źródłostów tego wyrazu ród. Ród jest to plemię,

rozrodzone w pewnym miejscu, pod pewnymi osobnymi okolicznościami klimatu, położenia kraju już górzystego, już płaszczystego, już nadmorskiego, już w głębi rozległych łądów położonego, na ziemi już urodzajnej, już trudnej do uprawy, poprzerzynanej rzekami ułatwiającymi handel i komunikacye, już położonej wśród stepów i puszczy; plemię zamieszkujące już wyspę, już łąd stały, to w północnych, mroźnych okolicach, to w południowych szerokościach ziemi, gdzie natura we wszystkie płody bogata, jak to mówią miodem i mlekiem płynie. Wszystkie te okoliczności wpływają przeważnie na zatrudnienie i ukształcenie tego plemienia, wyrabiają w nim osobny rodzaj charakter, osobną fizyognomię, po której poznasz współplemieńca, wyrabiają jego język, jego naukowe i przemysłowe zdolności. Do tego przychodzi jeszcze, że plemię takie, jak to tradycye wszystkich narodów głoszą, a osobnie starożytne potwierdzają, powstało z pewnego rodu a przynajmniej z pewnej gromady współplemieńców, którzy z przeludnionego może gniazda wywędrowali i gdzieś na opróżnionej ziemi osiedli, albo ztąd pierwotnych mieszkańców wyrugowali; — plemię takie jest więc rzeczywiście rodem rozrodzonym, wspólnymi węzłami pochodzenia pokrewieństwa i powinowactwa połączonym, w kolei czasów i dziejów zmieniającym się, ale nigdy niezacierającym pierwotnego charakteru swego, dopóki w nim tli i żyje myśl rodowa, którą do wyższych społecznych przeznaczeń wykształcać nie przestaje.

Naród więc jest rozrostem takiego rodu albo takich rodów, jest społecznością współplemienną, a jako taki ma nie tylko naturalne podwaliny swojego bytu, ale musi oraz mieć posiadanie swoje, to jest masi dopełnić w dziejach społecznych tej misyi, której wedle osobnych usposobień swoich narodowych dopełnić może i dopełnić powinien.

Początki narodów odległej sięgają starożytności. A jako u końców horyzontu odległego ziemia z niebem stykać się zdaje, tak odległe początki narodów, mianowicie w starożytności do nieba czyli do wysłanników niebieskich w mitologicznych baśniach odnoszą się.

Wszakże świeci w tych bajkach ta prawda, że Bóg rządzący światem i dziejami ludzkimi nie nadarmo i nie na przypadek wywołał osobne rody i narody, ale że w nich wlał myśl bożą, aby ją z siebie wysnuły, i na krośnie przeznaczeń ludzkości haftowały różnokolorowy obraz rozwijających się do coraz wyższej doskonałości dziejów społecznych — aby stanowiły różnobrzmiące strony instrumentu społecznego, z którego mimo czasowych dysonansów, rozbrzmiewa koncert postępu ludzkości do coraz wyższej doskonałości i coraz wyższego szczęścia i dobrobytu.

Najprzód Azja była zaludniona i przeludniona. Ztamtąd od stron Indyi i Persyi ruszyły się roje wędrownych ludów ku Europie, osiadały po nad morzem Czarném, Kaspjskiém i posuwały się ztąd dalej ku zachodowi i zamieszkały po nad Donem, Dniestrem, Wisłą, Odrą, Elbą, po nad Bałtykiem i morzem Niemieckim, sięgały aż do Norwegii, Wielkiej Brytanii, Francji i Hiszpanii. Czas i dzieje tych ruchów ludowych są niepewne i mało znane. Trzy rasy odznaczyły się i rozsiały po Europie. Rasa romańska, która powstała z pomieszczenia się Celtów i plemion łacińskich i gotyckich i utworzyła Włochy, Hiszpanią, Portugalią i Francją. Rasa germańska która powstała z pomieszczenia się Gotów z rzymskimi i słowiańskimi plemionami, i wydała Anglików, Duńczyków, Szwedów, Norwegów i różnoplemiennych Niemców i rasę słowiańską, która najdalej osiadła na wschodzie Europy i oddalona od cywilizacji rzymskiej najmniej pomieszała krew swoją. Każda z tych ras przez wędrowki na różne rozrodziła się jak to widzieliśmy plemiona, i dała początek różnym narodom.

Cokolwiek bądź i na plemię wędrowne do pewnej rasy należące, osiadłe w pewnym kraju i rozrosłe w kolei wieków na naród, zastosować trzeba te same zasady, któreśmy wyżej przytoczyli przy tworzeniu się rodów, a które na narodzie nowo ukształconym, wypiętnowały osobny charakter i osobny typ narodowości.

Narodowość zatem wedle tego, cośmy o narodach i rodach powiedzieli, dwie objawia nam strony fizyczną i moralną. Pierwsza z naturalnych fizycznych urobiła się wpływów, jest nią pokrewieństwo rodowe i plemienne, jest jeden język osobno urobiony, jest fizyognomia miejscowości kraju napiętnowana, jest charakter narodowy, będący skutkiem klimatu, położenia geograficznego kraju i zatrudnień, do jakich to położenie naprowadzało, jest temperament ze sposobu życia wpływający.

Zaś strona moralna narodowości, są to narodu zwyczajne i obyczaje; są to jego wyobrażenia i pojęcia ludowe odnoszące się zwykle do najdawniejszych czasów, są to jego tradycje i dzieje, jego pieśni, będące kwiatem jego uczucia czyli poezją narodową, jego przysłowia będące owocem jego doświadczenia, czyli jego mądrością narodową, jest to jego oświata a zatem literatura, sztuka i przemysł, o ile są oryginalne a nie naśladowane. Są to wreszcie jego instytucje i ustawy, o ile je naród sam z siebie wyprowadził a nie przejął od drugich. Atoli te wyróżnienia narodowości tak fizyczne jak moralne, nie miałyby ani celu a zatem ani żywota, gdyby nie były podtrzymywane wyższą myślą, a tą jest posłannictwo każdego narodu, które przeznaczon spełnić w dziejach, to jest w rozwoju ogólnym społecznym.

Idea posłannicza jest tém w narodzie, czém jest dusza w człowieku. A jako człowiek nie wie o duszy, bo jęj nie widzi, choć ona ożywia i utrzymuje cały jego organizm i kieruje, jako umysł, jego czynami, tak i naród najczęściej nie zna posłannictwa swego, choć

ono jest powodem i celem jego bytu i kieruje jego dziejami. Filozofia historii, zapatrując się na minione dzieje narodów, odślania w każdym myśl ich posłanniczą. Ale jako człowiek starać się powinien o zdrowie swego ciała, bo tylko w zdrowém ciele jest silna i sprężysta dusza, i jako starać się powinien o ukształcenie swoje, bo tylko ukształcony człowiek wie, czego chce i do czego dąży i poznawszy siebie pozna ducha swego — tak i naród o oświatę swoją narodową i o zdrowie instytucji swoich narodowych pieczęć mieć powinien, a pozna, co mu czynić i jak postępować wypada w duchu narodowym, bo ten duch narodowy, to właśnie idea narodowa posłannicza, którą dla wyższych przeznaczeń naród spełnia.

Szkicując wybitniejsze idee posłannicze współczesnych narodów Europy, tak jak się filozoficznie mu badaczowi ich dziejów przedstawiają, oglądamy we Włoszech sztuki piękne, jako ich myśl posłanniczą, tak ona przeważnie wpłynęła nawet na religię, że się stał ożenek sztuki i religii, dla wyższego podniesienia uczucia ludzkiego do Boga, co główną jest cechą katolicyzmu. Francya, która wyrobiła u siebie prawa człowieka, ma ideę humanitarną za posłannictwo swoje, wszystko, co jest wielkie, wzniosłe, idealne znajduje grunt i oddźwięk w mieszkańcach dawniej Gallii. Idea wolności sumienia znalazła reprezentanta swojego w narodzie niemieckim, tam tylko téż dla tej wolności sumienia rozwijać się mogła filozofia nowoczesna, której Niemcy są ojczyzną. Przeciwny bo materialny kierunek wzięła Anglia, handel i dobrobyt to jęj cele ostateczne, co znowu za sobą sprowadza rozwój przemysłu i instytucji politycznych.

W starożytności Fenicyanie i ich koloniści Kartaginczykowie torowali drogi przyszłemu przemysłowi i handlowi. Grecya była matką inteligencji i sztuki wszystkich następnych czasów. Rzym, który z maluczkich początków urosł na uniwersalną całego ówczesnego świata monarchią, przyniósł światu wyrób idei prawa, będącej dotąd podstawą praw naszych, a obok tego zaborami swymi niwelował tory dla przyszłego chrześcijaństwa, które wyrobiwszy się na świat katolicki, nie mogło gdzie indziej, jak w dawniej Romie, stolicy niegdyś całego świata, założyć także stolicę swoją.

W ogóle każdy naród z charakterem zaborczym, nie wiedząc o tém, pracuje i wojuje dla przyszłej wielkiej idei. Rzymianie w Romie swojej, dokąd gromadzili bogi pogańskie wszystkich podbitych narodów, zakładali już wtedy stolicę katolickiego świata i następców Piotra św. Prusy z małej Brandenburгии na wielkie państwo urosły, biorąc w zabory swoje okoliczne słowiańskie kraje, a później Śląsk i części zachodniej Polski, nie wiedziały, że pracują dla idei narodowości, która się dziś w jednocie niemieckiej objawia. Dla jakiej przyszłej idei zabórcza Rosya pracuje, czas to późniejszy okaże, to pewna, że dziś parta starorzyskim instynktem zaborów i niszczenia innych narodowości, nie wie, dokąd dąży.

Idea posłannicza Polski, zdaje się być braterstwo ludów. Wskazują ją nie tylko unie Litwy, Rusi i Prus z Polską, nie tylko jęj dziejowe przeznaczenie zasłaniania na kresach cywilizacji całej oświeconej Europy od napadów barbarzyństwa, ale i ta myśl równości i braterstwa, która się wśród społeczeństwa polskiego wyrobiła, gdzie jeden drugiego miał za brata i nazywał bratem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki**,

(Dalszy ciąg.)

— Macieju, przez miłość Boską, powiedz, co się stało...

Wtedy szepnął jój tylko kilka słów ochryplym głosem i padł krzyżem.

Zaremba na otrzymaną tę wiadomość nie odrzekł słowa, zdjął szablę z kolka, popróbował ją w zamachu, schował do pochwy, a potem gwizdząc piosnkę obozową, wyszedł do stajni. Brygida z przestraczem śledziła jego kroki. W stajni długo rozmawiał z Januszem, ścisnął go, całował i wybuchnął głośnym płaczem. Nogi pod nim się ugięły i byłby upadł na wznak, gdyby go trębacz nie podtrzymał. Zaciągnął go na swoje derki i położył a sam pobiegł do pani. Brygida już biegła z anodynami i spirytusami nacierać skronie i pulsa, gdy z wielkiem podziwieniem zastali go stojącego, z dzikim wzrokiem, ale nikogo nie rozpoznawał. Z pomocą Janusza przeprowadziła go do dworku i w łóżko ułożyła. Dał się powodować jak dziecko, słowa jednego nie wyrzekł, tylko osłupiałem spojrzeniem przerażał. Po kilku godzinach zaczął się uspokajać i zmęczony znać wysileniem zasnął twardo. Spał wbrew swemu zwyczajowi do piętnastu godzin, ale obudził się zupełnie bezsilny. Nie mógł się ruszyć, czuł ból w całym ciele i kościach. Po trzech dniach czulej opieki i starań żony podźwignął się z łóżka, zmieniony do nie poznania. Oczy zapadły, twarz wychudła, spojrzenie jakby zamdlone. Całą niemal zimę mało co mówiąc siedział przed kominem, z podziwieniem Janusza nie biorąc fajki do ust, tak ulubionej niegdyś. Dopiero z wiosną zaczął orzeźwiać się nieco, na św. Józefa napisał list do przyjaciela Raciborskiego z powinszowaniem i pierwszą wypalił fajkę. Jakaż to była radość dla poczciwej Brygidy i Janusza, gdy dawnym tonem rotmistrz zawołał:

— Brygisiu złota! podaj mi chłopca naszego.

A do Janusza:

— Héj! kolego dajno lulkę.

Zaszła jednak w jego sposobie życia wielka zmiana. Kładł się później, niż zwykle, modlił się na klęczkach, a żona i Janusz podsłuchali nieraz, że płakał rzewliwie i coś sam z sobą długo rozmawiał.

Na wielkanoc pierwszy raz wsiadł na swego kasztana, a potem objeżdżał siwosza darowanego. Kiedy zsiadł z niego i ucałował go w oczy, Janusz widział, że łzy gęste spadały rotmistrzowi na wąsy.

XV.

Po wielkiej burzy wojennej nastąpiła głęboka ciższa. Morski, nasz znajomy poseł wielkiego sejmu, na wiadomość o wyjeździe króla Stanisława Augusta i ostatnim rozbiorze kraju wydał tylko jeden krzyk bolesny i padł nieżywy: pękło w nim serce. Kniaziewicz, wzięty po klęsce pod Maciejowicami, po dwuletniej niewoli przybył do Wojcieszkowa w Lubelskie, gdzie mieszkała jego macocha, którą jak matkę kochał.

Osiadł w futorze wśród gęstych lasów, a w samo-

tności upiększał swoją siedzibę wiejską. Założył pelen smaku ogród, drogi powysadzał drzewami. Tak oddany pracy, marzył o uroczej bogdance, którą widział w Krakowie w pamiętnym dniu, kiedy Kościuszki dłoń uściśkał po długim niewidzeniu.

W tym futorze zastał go Józef Drzewiecki, towarzyszył broni i walki pod Maciejowicami. Serdeczne było dwóch przyjaciół powitanie i długa rozmowa, po której Kniaziewicz powziął postanowienie niezmienne.

Opuścił futor, który ukochał, na zawsze — pożegnał tę, co mu od lat dziecinnych miejsce najczulszej zastępowała matki i wraz z Drzewieckim ruszył do Krakowa.

Tu po kilkoletniem niewidzeniu ujrzał Teklę Orlewską, która przy swój stryjence mieszkała. Rzewne było ich powitanie: Kniaziewicz odkrył jój swój zamiar przedarcia się do legionów; piękna zawsze panna Tekla, lubo z bólem serca i zażwionemi oczyma, nie powstrzymała go w tym szlachetnym zamiarze.

W przeddzień wyjazdu rano w kościele Panny Maryi na rynku, przy bocznym oltarzu, odprawiał się msza święta. Siwy kapłan po jój skończeniu dał błogosławieństwo dwojga klęczącym i relikwiarz do pocałowania.

Była to Tekla Orlewska i Kniaziewicz, którzy wobec Boga przyrzekli sobie wierność i że żadne z nich innych ślubów nie powtórzy.

Kiedy powstała ze stopni oltarza dziewica, oblicze jój jaśniało szczególnym wyrazem rzewności.

— Będę ci wierną, mój Karolu, do grobu i pamięć a wspomnienie twoje nigdy mnie nie opuści! wyrzekła wzruszonym głosem.

— Będę ci wiernym i nigdy cię niezapomnę: odrzekł Kniaziewicz. Tu w tej świątyni przyjmij moje pożegnanie i ostatnie moje bądź zdrowa! z nadzieją, że Bóg nas połączy i da upragnione szczęście.

Orlewska ze stryjenką wróciwszy do domu, w modlitwie i łzach dnia następne przepędziła. Kniaziewicz z Drzewieckim opuścili dawną stolicę Jagiellońską.

Pisząc do swój Tości w tydzień później, opowiedziawszy szczegóły, zakończyła temi słowy:

— „Tak więc, moja droga, choć nie zaślubiłam Karola. uważam się teraz związaną jakby ślubem, któremu pozostanę wierną. On mnie kocha, jam narzeczoną jego, może Bóg odmieni łzy moje na uśmiech wesela.“

Grobową ciszę w Ihuatowicach przerwał niespodziewany wypadek. Pierwszych dni wiosny, w drugiej połowie maja, nadbiegł pod wieczór zadyszany arendarz, donosząc prezesowi, że do karczmy zajechała jakaś księżna, ale pomieścić się ze dworem, ani wygody dla siebie znaleźć nie może.

Żurowski wdział więc kontusz co rychlej na co-

dzienny żupan i pospieszył drogą do karczmy, przed którą stała podróżna karetka i bryka brocka ładowna.

W izbie karczmy brudnej, zakopconej i dymnej robiono przygotowania do jej oczyszczenia i obicia dywanami: pod oknem siedziała dostojna podróżna, wachając co chwila z flakonika.

Żurowski już się dowiedział, że to była księżna Lubomirska, z domu hetmanówna Sosnowska, a zawdzięczając wiele tej rodzinie, rad był, że potrafi odslużyć się jaką grzecznością.

— Mościa księżno! — rzekł, kłaniając się z uszanowaniem — zapomniałaś widać Wasza książęca Mość o staropolskiej gościnności i o wiernym służce domu Lubomirskich. Mój dworek niedaleko, czém chata bogata, tém i rada, ale znajdziesz Wasza książęca Mość równie jego wrota, jak i serca otwarte i chętne na przyjęcie tak znakomitego gościa.

Księżna żywo z ławki, dywanem okrytą, powstała, radość błysnęła na jej przybladłym licu, podała uprzejmie rękę prezesowi, który ją ucałował i wdzięcznie podziękowała, przyjmując ochotnie gościnność ofiarowaną sobie.

Jakoż niebawem upakowano napowrót w części wydobyte rzeczy, a księżna kazawszy karcie i brycejechać do dworu, oświadczyła chęć przejścia się pieszo wraz z szanownym gospodarzem.

Żurowski uszczęśliwiony przyjęciem gościny, szedł z odkrytą głową, pomimo że go księżna prosiła, aby włożył czapkę. Prezes niby nakrywał podgoloną czuprynę, lecz wkrótce zdejmował rogatywkę, narzekając, że wieczór ten nawet podczas bujnej rosy gorący i duszny.

Uwiadomiona wcześniej o przybyciu księżnej prezesowa, z córką oczekiwała na ganku i powitała nadchodzącą z uszanowaniem. Księżna przyjęła skromną wieczorę, a dziękując uprzejmie za tak gościnne przyjęcie, udała się wcześniej na spoczynek.

Przygotowano dla niej dwa pokoje, dotyczące sali środkowej. Wszedłszy do swjej sypialni, prędko zrzuciła ubranie podróżne, a odpawiwszy pannę służącą, zamknęła drzwi i jakby zmęczona usiadła na kanapie małej pod oknem.

— Spełniłam mój zamiar! Jestem tu — myślała sobie — i poznałam jego bogdanę, przy której zapomniał o mnie!

Było to w roku 1798, w lat siedem prawie od pobytu Żurowskich w Międzyborzu. Panna Tekla, owa pieszczona Tocią, liczyła teraz rok dwudziesty czwarty życia, a jakkolwiek przeszła wielkie cierpienia, wdzięki jej w niczem nie ucierpiały i tąż samą pięknoscą, co dawniej jaśniały.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Śmiech lekarzem.

Ignacy Born, który się w 18 wieku wslawił w Austrii przez dzieła górnicze i nader ostre satyry, lubił lekkie i hulackie życie, od kościoła i duchownych stronił, a nawet nieraz siekł ich nielitościwie w satyrach. Siostra jego zupełny z nim stanowiła kontrast — była pobożna, modliła się wiele, jeszcze więcej pościła i wszelkimi siłami nakłaniała brata do pobożnego życia. Lecz starania jej nie tylko, że najmniejszego nie odnosiły skutku, lecz owszem wywoływały jeszcze szyderstwa z jego strony i to tak cyniczne, że nieboraczka nieraz aż uszy sobie zatykać musiała. Czekaj bracie, czekaj! ty nie wierzysz w djabłów, a zobaczysz, że jak się nie poprawisz, to cię djabli wezmą. — Raz po takiej scenie Born niebezpiecznie zachorował w Wiedniu, a że miał wielkie imię i znaczenie u dworu, Marya Teresa posłała swego murzyna z zapytaniem o jego zdrowie. Skoro go troskliwa siostra zobaczyła, zląkła się niemało i zawołała: O ja nieszczęśliwa, wszakżem zgadła, że djabeł po niego idzie. Born na te słowa się rozśmiał i ozdrowiał.

Poeta niemiecki Kleist zapadł raz w ciężką chorobę. Przyjaciel jego i także poeta Gleim, pielęgnował go troskliwie, a gdy sposobność pozwalała, czytywał mu swe wiersze, które chory bardzo lubił słuchać. Ale choroba się wzmagala, a Gleim nie chciał nużyć przyjaciela czytaniem; gdy tenże jednakże nalegał, przeczytał mu następujący czterowiersz:

„Czy śmierć umie kochać pusta?
Po co bierzesz mą dziewicę?
Śmierć ma zęby, lecz nie usta,
Trudno całować jej lice.“

Chory się rozśmiał, krew zatamowana popłynęła i wkrótce odzyskał zdrowie.

Kardynał Salviani już umierał — opuszczony od wszystkich leżał samotny na łożu bez pomocy i oczekiwał końca swych cierpień. W tém s'udzy, co mogą zabierać mu z pokojów i unoszą; widząc to ulubiona małpa kardynała, chwyta za stary kapelusz i jak może z nim ucieka. Tu się nie mógł kardynał utrzy-

mać od śmiechu, parsknął na całe gardło, aż śluzdy zdrętwieli i... ozdrowiał.

X. S. T.

Szarada.

Pierwsze i drugie jest obrazek mały,
Co wraz z innemi służy do zabawy. —
Dawne go wieki podobno nie znały,
Dzisiaj zaś przyzna czytelnik łaskawy,
Że te obrazki, lecz inne miano
W ojcystym naszym języku nadano;
Nieraz na całą ubogą rodzinę,
Przywodzą mienia i sławy ruiny.
Pierwsze, trzecie, rośnie w ogrodzie,
Lecz także w polskim, starożytnym grodzie
Na świat ochoczo i pilnie wychodzi. —
Tak myśli twojej, jak sercu dogodzi. —
Trzecie, czwarte jeżeli szukać chcesz zawzięcie,
Znajdziesz w każdym domu — nawet na okręcie.
Pierwsze zaś i czwarte szukaj w Piśmie świętym,
Jeżliś obeznany z Nowym Testamentem.
Wszystko wśród stuku, hałasu i wrzawy,
Znów ci do wspólnej posłuży zabawy. —
A chociaż nieraz na chrzcie się dawało,
Przebrawszy niegdys surowości miarę,
Nie jedną w Niemczech niewinną ofiarę,
Na śmierć okrutną, haniebną wskazało.

(Rozwiązanie szarady w nr. 12: *Ameryka*.)

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu Ksaw. C. Mówiąc otwarcie, „Widzenie“ Pańskie nie zadowolniło nas swą formą. Wierszom tym braknie rytmiczności, głównie dla tego, że raz mają za wiele, drugi raz za mało zgłosek. Piękny styl w liście Pańskim kazał si- nam natomiast spodziewać, że Pan lepiej piszesz prozą. Zład nasza odpowiedź — lakoniczna, ale wiele znacząca. Współpracownictwo Jego, jest nam wszakże zawsze pożądanem. — Panu n. n. w Ostr. i Panu radzimy liczyć lepiej sylaby w wierszach i pilnować średniówki. — Panu M. w Pozn. Dziękujemy. Panu z pod Kiszkowa i p. J. B. pod Ostrzesz. — Użyjemy. — Panu Bol. Łaszcz. w Monachium: Może później — dzisiaj oba nakłady są wyczerpnięte.